

Na początku wszystko było proste jak drut. Mieszkalem w Kopenhadze razem z Sarą i Amalie i kiedy wieczorem wstawałem z kanapy, na której siedzieliśmy i oglądaliśmy telewizję po położeniu Amalie spać, Sara pytała mnie: „Dokąd idziesz?”. Nawet w nocy, gdy szedłem się wysikać, pytała: „Dokąd idziesz?”. Odpowiadałem: „Wysikać się”, odpowiadałem: „Sprawdzić, co u Amalie”, odpowiadałem: „Zrobić kawę”, odpowiadałem: „Przewietrzyć się”.

Chodziłem dużo. Raz na jakiś czas po prostu musiałem wyjść z mieszkania, w ten sposób pilnowałem, żeby nie przybrać na wadze. Z czasem zauważyłem jednak, że ludzie mi się przyglądają. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zaczęto mnie uważać za stały element pejzażu ulicy taki jak gość żebrzący o dwukoronówki, śpiewający Søren czy jakiś inny z całej zgrai wałęsających się typów. Wtedy ograniczyłem swoje łażikowanie. Ale wystarczył miesiąc, żebym popadł w marazm. Kąpiąc się pod prysznicem, przestawałem widzieć swoje włosy łonowe – i koniec końców wracałem do szwendania się po ulicach. „Wiecznie gdzieś łażisz” – narzekała Sara. Denrowowała ją ta moja skłonność do wychodzenia. Coraz bardziej graliśmy sobie na nerwach. Nie tylko od czasu do czasu – to był permanentny stan poirytowania, który pojawił się zdecydowanie zbyt wcześnie, zważywszy na

to, że Amalie miała dopiero cztery lata i niedawno kupiliśmy mieszkanie.

Amalie nie była moim dzieckiem. Jej tak zwany biologiczny ojciec zachorował na psychozę, po której nigdy nie doszedł do siebie. Należy teraz do wyznawców Hare Kryszna. Widziałem go kiedyś, jak tanecznym krokiem przemierzał kopenhaski deptak z innymi krysznowcami. Brzdąkał na tamburynie ubrany w pomarańczowe fatłaski. Wręczył mi małe ciasteczko. Nie miałem ochoty go zjadać. Nigdy nie mówiłem Sarze, że go spotkałem. Nie pytaj dlaczego, bo przecież nie było nic złego w tym, że go widziałem i że dostałem to ciastko. Chyba chodziło o to, że po prostu nigdy nie rozmawialiśmy na jego temat. Czasami łapałem się na myśleniu: „Oby to nie okazało się dziedziczne”. Na pewno byłoby w jakiś sposób lepiej dla Amalie, gdybym to ja był jej prawdziwym ojcem, ale z drugiej strony takie rozumowanie jest bez sensu, bo wtedy Amalie nie byłaby sobą. Widzisz? O to właśnie mi chodzi – i dlatego z reguły nie myślałem o tym zbyt wiele. Amalie nazywała mnie tatą.



Tego dnia skoczyłem w porze lunchu na sandwicz z pieczoną wieprzowiną i wróciłem do biura o wpół do pierwszej. Zostały mi dwie godziny, żeby złożyć do kupy propozycję kampanii, którą tego samego popołudnia mieliśmy przedstawić klientowi. Håkon, który z jakiegoś powodu mnie nienawidził, wiedział, że jestem w czarnej dupie z tą prezentacją, i kręcił się po biurze ze złośliwym uśmiechem, próbując mnie zdekoncentrować.

– Jak ci idzie?

– W porzo, Håkon.

– Super. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, co wymyśliłeś.

– Nie wątpię.

Håkon usiadł za swoim biurkiem i zaczął klikać długopisem. Klik-klik, klik-klik, klik-klik. Chyba wiem, dlaczego mnie nienawidził. Kilka lat wcześniej podczas przedświątecznej imprezy w biurze zwierzył mi się po pijaku. To była jakaś intymna sprawa. Nie pamiętam, o co chodziło, ale wyrzył mi się w pamięci obraz twarzy Håkona bardzo blisko mojej i jego małych, załzawionych oczek za szklami okularów do komputera. Jego obecną nienawiść wywołało to, że się przede mną obnażył, że w jego wyobraźni miałem na niego haka, wiedziałem o jakiejś jego chwili słabości. Niestety tak się sprawy miały. Klik-klik, klik-klik, klik-klik. W ten sposób stwarzał teraz miłą atmosferę.

– Håkon, mógłbyś przestać klikać tym długopisem?

– Denerwuje cię to?

– Tak.

– A to przepraszam... Po prostu najlepiej mi się myśli, kiedy klikam.

Przestał. Dla pewności wyjąłem iPoda, włożyłem słuchawki do uszu i puściłem *Nebraskę* Bruce'a Springsteena. Wtedy zadzwoniła Sara z pytaniem, czy pamiętam, że o pierwszej mam odebrać Amalie z przedszkola. Skłamałem, że owszem, pamiętam i właśnie tam jadę. Nie miałem innego wyjścia, niż wymyślić coś po drodze do przedszkola i zabrać Amalie do biura na kilka godzin.

Powodem, dla którego przedszkole zamykano wcześniej, było to, że wszyscy opiekunowie potrzebowali wsparcia psychologicznego i wysyłano ich na terapię do

Szpitala Królewskiego, ponieważ w mediach skrytykowano ich finanse. Była to afera z gatunku tych grubszych, miałbym z niej w sumie niezły ubaw, gdyby nie zdarzyła się w nieodpowiednim momencie.

Wybrałem się do przedszkola samochodem i przybyłem tam pięć po pierwszej. Jedna z opiekunek siedziała na trójnożnym zydłu i płakała. Druga, która stała obok i próbowała ją pocieszać gładzeniem po ramieniu, łypnęła na mnie wzrokiem pełnym pretensji. W kącie naprzeciwko Amalie biła się z jakąś dziewczynką o lalkę bez ręki jak z obrazów Hansa Bellmera*.

Dziewczynce udało się wyrwać Amalie lalkę, której jedyna ręka sterczała w górę, jakby hajlowała. Zwycięzczyni uczciła ten triumf zapalczywym gryzieniem głowy swojego trofeum. Wziąłem Amalie na ręce, pocałowałem na przywitanie, pozbierałem jej rzeczy, pożegnałem się z obydwoma opiekunkami – tą płaczącą i tą drugą, która ją pocieszała – po czym skierowałem się do samochodu.

Po powrocie do biura dałem Amalie blok, jakieś pisaki i posadziłem obok siebie, gdzie zajęła się rysowaniem. Zapytałem, czy nie pomoże tatusiowi namalować jakichś ładnych obrazków do reklamy. Håkona nigdzie nie było widać.

Było to małe, nic nieznaczące zlecenie. Jakiś ważniak od kultury dostał z gminy kupę kasy na zorganizowanie targów sztuki wielokulturowej w przemysłowym kompleksie Kødbyen. Musiałem dostarczyć jedynie plakat reklamujący to wydarzenie, ale w głowie miałem kompletną pustkę, nie mogłem wyzbyć się niechęci wobec tej sztucznej imprezy o podejrzenie szlachetnych intencjach. Spotkałem tego typu tylko raz i jego błędny wzrok, z którym nie dało się nawiązać kontaktu, przyprawiał

mnie o dreszcz. Amalie rozłożyła na biurku ukończone rysunki i zaczęła pracować nad następnym. Słoneczko w prawym rogu właśnie otrzymało promienie.

Targi sztuki miały się odbyć pod hasłem „Na wskroś kultur”. W mojej głowie zaświtała chora myśl. Wrzuciłem w Google „jedzenie spaghetti”. Wśród wielu innych obrazów wyświetliło mi się zdjęcie biznesmena wciągającego nitkę makaronu. Nadawało się idealnie. Po dalszym szukaniu w necie znalazłem zdjęcie wyznawcy sikhizmu składającego usta jak do pocałunku. Ściągnąłem obydwie fotki – na szczęście miały niezłą rozdzielczość – i zabrałem się do pracy. Rezultatem był fotomontaż przedstawiający białego biznesmena i Hindusa w turbanie, którzy wciągali każdy swój koniec tej samej nitki spaghetti, zupełnie jak w *Zakochanym kundlu*. Lepsze byłoby oczywiście upozowane zdjęcie z modelami, ale że gruszki nie rosną na wierzbie, pozostało mi tylko mieć nadzieję, że waźniak od kultury to kupi. Olałem wielkim siurem prawa autorskie do zdjęć. Ściągnąłem je z dwóch różnych stron internetowych, amerykańskiej i włoskiej, więc prawdopodobieństwo wykrycia ich źródeł uznałem za minimalne.

Ponadto wpadłem na pomysł, żeby wyprodukować pewną liczbę koszulek z nadrukiem: „Na wskroś kultur – Art has no homeland”, które organizatorzy mogliby rozdawać bezdomnym z Kopenhagi. Bezdomni byli bowiem w tamtym czasie na topie dla całej tak zwanej klasy kreatywnej. Bajerancko było wyglądać jak bezdomny, znać kogoś bezdomnego albo być kojarzonym z kimś takim.

Waźniak od kultury z miejsca połknął haczyk. Niezdolny do rozpoznania fuszerki, zachwycił się prowokacyjnym wydźwiękiem projektu. Håkona z żalu mało

szlag nie trafił. Poprosiłem go, żeby podczas prezentacji przypilnował Amalie, a kiedy później oznajmiłem mu, że pomysł został sprzedany, jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu tak fałszywym, że miała się rozplakała. Wziąłem wolne na resztę dnia i pojechałem z Amalie do domu.

Po drodze zrobiliśmy zakupy na kolację, którą ugotowaliśmy wspólnie przed powrotem Sary. Wieczór okazał się wyjątkowo udany. Po posiłku i po przeczytaniu Amalie bajki na dobranoc zasiadłem przed telewizorem z kieliszkiem wina, czując dużą satysfakcję.